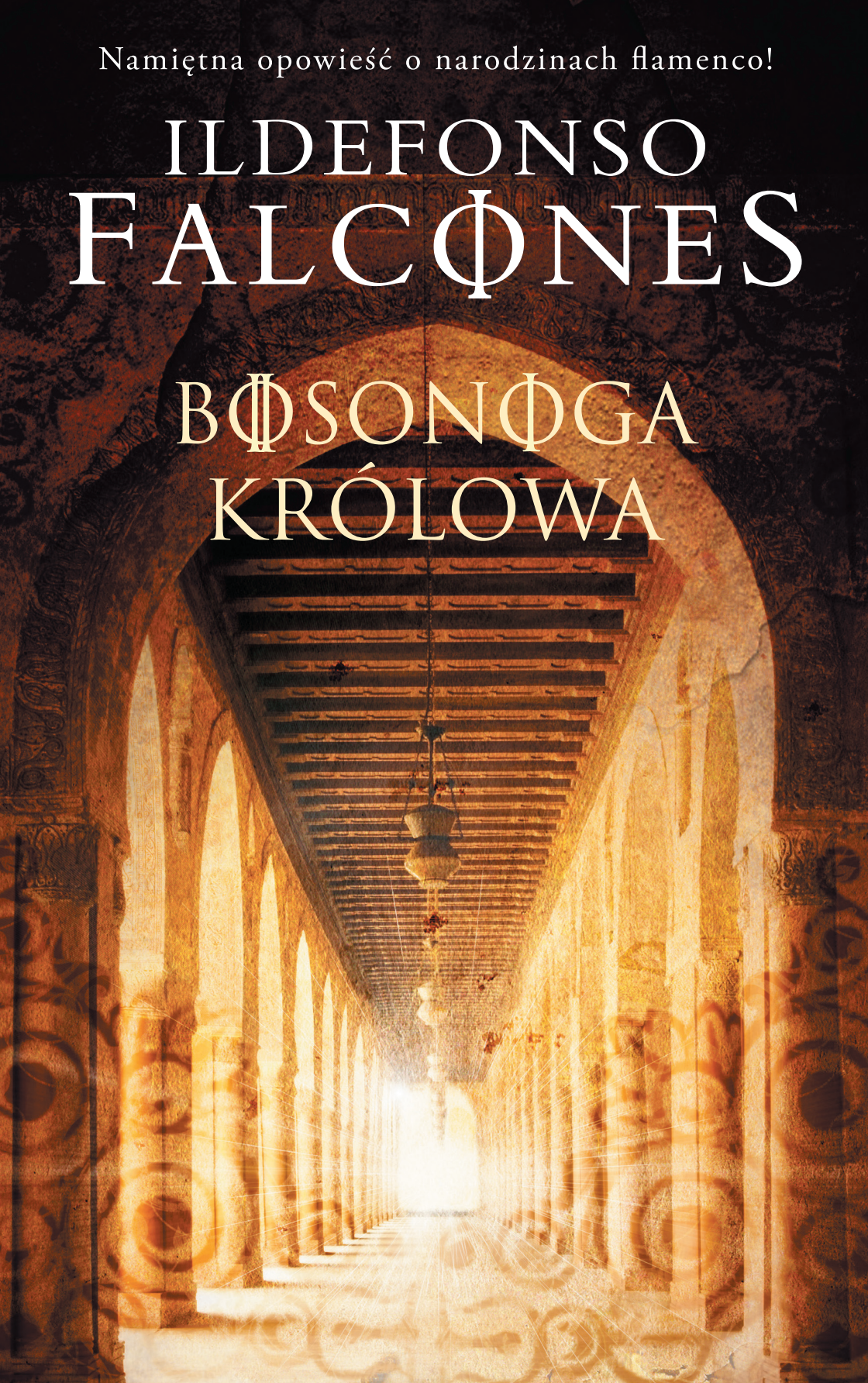


Namiętna opowieść o narodzinach flamenco!

ILDEFONSO FALCÓNES

BOSONOGA
KRÓLOWA



1

*Port Kadyks,
7 stycznia 1748*

Caridad już miała zejść na kadyskie nabrzeże, ale w ostatniej chwili się zawahała. Stała na samym końcu trapu spuszczonego z feluki, która zabrała ich z *Królowej*, okrętu Armady, konwojującego przez ocean sześć statków kupieckich załadowanych cennymi towarami. Spojrzała na zimowe słońce oświetlające port, gdzie panował niesłychany harmider; rozładowywano właśnie jeden ze statków przybyłych z Hawany. Przez szpary słomianego kapelusza Caridad wdzierały się promienie słońca i na moment ją oślepiły. Skuliła się z niepokoju, jakby wrzaski portowców były skierowane przeciwko niej.

— Rusz się! — krzyknął stojący za nią marynarz i odepchnął ją bezceremonialnie.

Caridad potknęła się, omal nie wpadła do wody. Jakiś mężczyzna próbował ją wyprzedzić, więc niezdarnie zeskoczyła na molo, odsunęła się na bok i zastygła w bezruchu, podczas gdy reszta marynarzy kontynuowała rozładunek, prześcigając się w sypaniu sprośnymi dowcipami o kobietach, przy których znajdują odprężenie po długim rejsie przez ocean.

— Naciesz się swoją wolnością, Murzynko! — krzyknął przechodzący obok mężczyzna i mocno klepnął ją w tyłek.

Kilku jego kolegów zarechotało. Caridad nawet nie drgnęła,

tylko utkwiła wzrok w długim, brudnym warkoczyku, tańczącym na przykrytych złachmanioną koszulą plecach marynarza, który rozkołysanym krokiem oddalał się w kierunku Bramy Morskiej.

Jestem wolna? — zastanawiała się. Co to za wolność? Popatrzyła na mury z Bramą Morską, za którymi rozciągało się miasto. Większość pięćsetosobowej załogi *Królowej* tłoczyła się już przy wyjściu, gdzie armia urzędników — zarządcy portu, celnicy i kontrolerzy — sprawdzała dokładnie, czy ktoś nie próbuje wynieść zakazanych towarów, i wypytywała, czy aby któryś ze statków nie odłączył się od konwoju pod pretekstem awarii i nie zajmował się przemytem ze szkodą dla królewskiego skarbcza. Jedni marynarze cierpliwie znosili tę rutynową procedurę, inni głośno protestowali, ukryci w tłumie, i żądali przepuszczenia, lecz inspektorzy byli nieustępliwi. *Królowa*, majestatycznie zakotwiczona w kanale portowym przy Trocadero, przywoziła ponad dwa miliony pesos, drugie tyle w kosztownościach z litego srebra i w towarach z Indii Zachodnich, a oprócz tego dwójkę pasażerów, Caridad i jej pana.

Przeklęty don José! Caridad opiekowała się nim podczas rejsu. Mówili, że dopadła go choroba żeglarzy, że to koniec i nie ma dla niego ratunku. I rzeczywiście, jego spuchnięte, trawione gorączką ciało słabło z dnia na dzień, wycieńczone krwotokami. Podczas długiej, trwającej prawie miesiąc agonii, ona tkwiła przy nim w małej cuchnącej kajucie, którą kapitan specjalnie kazał wybudować na rufie, zabierając część miejsca przeznaczonego dla oficerów. Don José słono mu za to zapłacił. Eleggua, spraw, by jego dusza błąkała się bez końca i nigdy nie zaznała spokoju, prosiła Caridad, wyczuwając w tej ciasnej przestrzeni potężną obecność Najwyższej Istoty, Boga rządzącego ludzkim losem. W pożółkłych oczach konającego pana zamigotało błaganie o litość, choć nie mógł słyszeć jej modłów. Wyciągnął rękę, jakby chciał zaznać odrobiny ciepła w ostatnich chwilach. Zapewne zdawał sobie sprawę, że życie

z niego uchodzi. Caridad odmówiła mu tej pociechy. Ona też wyciągała do niego ręce, kiedy rozdzielano ją z małym Marcelem. I co on wówczas uczynił? Kazał nadzorcy ją przytrzymać i krzyknął do czarnego niewolnika, żeby zabrał malca.

— Ucisz go! — dodał, stojąc przed dużym domem na placu, gdzie wszyscy się zebrali, aby usłyszeć z ust pana, kto będzie nowym właścicielem plantacji i jaki los ich czeka. — Nie cierpię takich...

Don José nie dokończył zdania. Niewolnicy patrzyli ze zdziwieniem na Caridad, która wyszarpnęła się z rąk nadzorcy, żeby podbiec do synka, jednak natychmiast uświadomiła sobie, czym to grozi, i się zatrzymała. Przez kilka chwil słychać było tylko rozpaczliwe piski Marcela.

— Wychłostać ją, don José? — spytał nadzorca, ponownie chwytając Caridad za ramię.

— Nie — odparł pan po namyśle. — Nie chcę jej okaleczyć przed wyjazdem do Hiszpanii.

A wtedy ten wielki Murzyn o imieniu Cecilio odepchnął ją i na znak dany przez nadzorcę zaciągnął dziecko do chaty. Zrozpaczona Caridad upadła na kolana, a jej szloch zmieszał się z płaczem synka. Więcej już go nie zobaczyła. Nie pozwolili jej się z nim pożegnać, nie pozwolili...

— Caridad! Co tak stoisz, kobieto?

Na dźwięk swojego imienia wróciła do rzeczywistości i mimo zgiełku rozpoznała głos don Damiána, starego kapelana z *Królowej*, który również wysiadł na ląd. Natychmiast odstawiła swój tobołek, odsłoniła głowę i spuściła oczy, zatrzymując je na starym słomianym kapeluszu, który zaczęła miąć w dłoniach.

— Nie możesz zostać na nabrzeżu — powiedział kapłan. Podszedł do niej i wziął ją za ramię. Trzymał ją tak przez chwilę, zanim cofnął rękę z przestachem. — Zbieraj się — ponaglił nerwowo. — Chodź ze mną.

Don Damián ruszył z kufrem w stronę Bramy Morskiej. Caridad poszła za nim z tobołkiem i kapeluszem w dłoniach,

nie odrywając oczu od sandałów kapelana.

— Przejście dla służby Bożego! — zażądał od stłoczonych pod bramą marynarzy.

Tłum rozstępował się powoli. Czarna jak heban Caridad dreptała ze spuszczoną głową za księdzem, powłócząc bosymi nogami. Nawet w długiej, niezgrabnej koszuli z szarego zgrzebnego płótna, która służyła jej za sukienkę, wyglądała pociągająco. Mężczyźni odprowadzali wzrokiem tę ciemnoskórą dorodną kobietę dorównującą wzrostem niektórym marynarzom, gapili się na jej gęste, kędzierzawe włosy, obfite, jędrne piersi i zmysłowe ruchy bioder. Kiedy rozległy się gwizdy i rubaszne propozycje, kapelan, nie przerywając marszu, podniósł ostrzegawczo dłoń.

— Ksiądz Damián García — przedstawił się, wręczając swoje dokumenty jednemu z urzędników portowych. — Kapelan okrętu wojennego *Królowa* w służbie Jego Królewskiej Mości.

Urzędnik rzucił na nie okiem.

— Pozwoli Wasza Wielbność, że skontroluję bagaż?

— Są tu tylko przedmioty osobiste... — odparł ksiądz, otwierając kufer — i kilka rzeczy, na które mam zezwolenie. Wszystko jest odnotowane w dokumentach.

Urzędnik pokiwał głową, nie przestając grzebać w kufrze.

— Czy były jakieś problemy w czasie rejsu przez ocean? — zapytał, ważąc w dłoni pakunek tytoniu. — Widział ksiądz wrogie albo obce okręty?

— Nic takiego. Wszystko odbyło się zgodnie z planem.

Urzędnik skrupulatnie sprawdzał zawartość kufra.

— To wasza niewolnica? — zapytał po skończonej inspekcji i wskazał Caridad. — Nie jest wymieniona w dokumentach.

— Ona? Nie. To wolna kobieta.

— Nie wygląda na taką — stwierdził urzędnik, stając na wprost Caridad, która jeszcze mocniej przycisnęła do siebie tobolek i słomiany kapelusz. — Spójrz na mnie! — burknął.

— Co tam ukrywasz, Murzynko?

Kilku urzędników kontrolujących marynarzy przerwało pracę

i spoglądało na kobietę stojącą ze spuszczoną głową. Marynarze, którzy wcześniej ich przepuścili, teraz podeszli bliżej.

— Ona nic nie ukrywa — rzucił don Damián.

— Niech jej ksiądz nie broni. Z doświadczenia wiem, że jeśli ktoś nie śmie spojrzeć urzędnikowi w oczy, to znaczy, że na pewno coś ukrywa.

— Co ta nieszczęsna może ukrywać? — upierał się ksiądz.
— Caridad, pokaż swoje papiery.

Kobieta poszperała w tobołku, szukając dokumentów otrzymanych od pisarza okrętowego. Don Damián mówił dalej:

— Wsiadła na pokład w Hawanie razem ze swoim panem, don José Hidalgiem, który zapragnął wrócić przed śmiercią na ziemię przodków. Niestety, zmarł w czasie rejsu, wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

Caridad wręczyła urzędnikowi pomięte dokumenty.

— Na krótko przed śmiercią — kontynuował don Damián — don José postanowił spisać testament, zgodnie ze zwyczajem panującym na królewskich okrętach, i wyzwolił swoją niewolnicę Caridad. Oto list wyzwoleniczy sporządzony przez pisarza okrętu flagowego.

„Caridad Hidalgo — zanotował pisarz, nadając jej nazwisko zmarłego właściciela — znana również pod imieniem Cachita, czarna niewolnica, cała w kolorze hebanu, zdrowa, silnej budowy, włosy czarne, kędzierzawe, wiek mniej więcej dwadzieścia pięć lat”.

— Co masz w tej torbie? — spytał urzędnik, przeczytawszy dokument uwierzytelniający wyzwolenie Caridad.

Kobieta otworzyła tobołek i pokazała jego zawartość. Koc, chusta z bai... Ostatniej zimy dostała ją od pana, a koc dwa lata wcześniej. Schowała między nimi kilka cygar, podebranych don José na statku. A co, jeśli je odkryją? — pomyślała z lękiem. Urzędnik już wsunął rękę do tobołka, cofnął ją jednak, zniechęcony widokiem starych łachmanów.

— Spójrz na mnie, Murzynko — rozkazał.

Ciałem Caridad wstrząsnął dreszcz, co nie uszło uwadze

świadków tej sceny. Była nauczona, że nie wolno jej podnosić oczu na białego mężczyznę, zwłaszcza wtedy, gdy coś do niej mówi.

— Jest przestraszona — wtrącił don Damián.

— Powiedziałem, żeby na mnie patrzyła.

— Zrób to — poprosił ją kapelan.

Caridad uniosła wreszcie głowę i ukazała się jej okrągła twarz, grube, mięsiste wargi, spłaszczony nos i małe ciemnobrązowe oczka, które utkwiała w bramie i rozciągającym się za nią mieście, żeby nie patrzeć na urzędnika. Ten zmarszczył czoło, bezskutecznie szukając płochliwego spojrzenia kobiety.

— Następny! — zawołał, przerywając rosnące napięcie, i natychmiast runął w jego stronę tłum marynarzy.

. . .

Don Damián z drepcząca mu po piętach Caridad przeszli przez Bramę Morską pomiędzy dwiema wieżami blankowymi i wkroczyli do miasta. Zostawili za sobą w kanale przy Trocadero dwupokładowy, uzbrojony w ponad siedemdziesiąt dział okręt *Królowa*, który przywiózł ich z Hawany, i sześć eskortowanych przez niego statków handlowych z ładowniami pełnymi towarów z Indii Zachodnich, cukrem, tytoniem, kakao, imbirem, kolcowojem, indygiem, koszenilą, perłami, szylkretem, srebrem... Kadyks przywitał konwój biciem dzwonów, zadowolony z sukcesu wyprawy. Hiszpania znajdowała się w stanie wojny z Anglią, flota Indii Zachodnich już nie pływała po oceanie w obie strony pod osłoną okrętów Królewskiej Armady, jednak handel rozwijał się nadal dzięki prywatnym armatorom, posiadającym królewski placet na rejsy. Dlatego każde przybycie statków z towarami kolonialnymi i bogactwami pożądanymi przez skarbiec Hiszpanii wywoływało świąteczny nastrój w całym mieście. Minęli kościół Najświętszej Maryi Panny Wszystkich Ludzi i gdy dotarli do ulicy Juega de Peloty, don Damián zatrzymał się na uboczu, z dala od tłumu marynarzy, żołnierzy i kupców.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Caridad — powiedział, postawiwszy kufer na ziemi.

Kobieta nie zareagowała. Kapelan nie widział jej oczu ukrytych pod wciśniętym na uszy słomianym kapeluszem, mimo to miał wrażenie, że są utkwione w kufer, w jego sandały albo w...

— Muszę zająć się swoimi sprawami, rozumiesz? — usprawiedliwił się. — Spróbuj poszukać sobie jakiejś pracy. To miasto wielkie i bogate.

Mówiąc to, don Damián wyciągnął prawą rękę, musnął ramię Caridad i tym razem on spuścił oczy. Kiedy je podniósł, napotkał jej ciemnobrązowe małe oczka, wbite w niego bez wyrazu, tak samo jak podczas spędzonych na statku nocy. Na polecenie kapitana musiał zaopiekować się niewolnicą po śmierci don José, więc wziął ją do swojej kajuty, żeby nie była narażona na zaczepki marynarzy. Coś go ścisnęło w żołądku. Nie dotknąłem jej, powtórzył sobie w duchu po raz enty. Nigdy tego nie zrobił, ale Caridad widziała, jak... jak masturbował się ukradkiem w kajucie okrętowej, wkładając rękę pod sutannę, podniecony obecnością tej oszałamiającej kobiety, mimo że starał się walczyć z tym pragnieniem.

Po śmierci don José odbył się krótki rytuał pogrzebowy, odmówiono trzy modlitwy za zmarłych i wyrzucono za burtę zapakowane w worek zwłoki z przywiązanymi do nóg dwoma dzbanami z wodą. Kapitan zarządził demontaż prowizorycznej kabiny i kazał pisarzowi zabezpieczyć majątek zmarłego. Don José był jedynym pasażerem okrętu flagowego, a Caridad jedyną kobietą na pokładzie.

— Wasza Wielebność — rzekł kapitan do kapelana po wydaniu tych rozkazów — czynię was odpowiedzialnym za odizolowanie Murzynki od załogi.

— Ale ja... — próbował oponować don Damián.

— Żywność pozostawioną przez pana Hidalgo proszę wykorzystać na posiłki dla tej kobiety — oznajmił kapitan, nie zważając na jego protest.

• • •

Don Damián zamknął Caridad w swojej maleńkiej kajucie, gdzie starczało miejsca tylko na jeden hamak, który rozwieszał dla siebie na noc między ścianami i zwijał z rana. Kobieta spała na podłodze pod hamakiem. Pierwsze noce minęły kapelanowi na lekturze świętych ksiąg, jak zwykle, jednak coraz częściej podążał spojrzeniem za światłem kaganka, które z opasłych tomów uporczywie przemieszczało się na zwiniętą w kłębek leżącą na podłodze kobietę. I tam wzrok się zatrzymywał.

Księżda nawiedzały przeróżne fantazje, gdy tak patrzył na wystające spod koca nogi Caridad, na piersi falujące w rytmie oddechu, na zarys pośladków. Próbował walczyć ze sobą, ale nie był w stanie oprzeć się pokusie masturbacji. Pewnej nocy trzask belek uginających się pod ciężarem hamaka albo zgęstniała na tak niewielkiej przestrzeni atmosfera napięcia, w każdym razie coś sprawiło, że Caridad otworzyła oczy. Skupił się w nich cały blask lampki. Don Damián poczuł, że się czerwieni, i znieruchomiał na moment, lecz nie mógł zapanować nad podnieceniem, gdy Caridad patrzyła na niego pustym wzrokiem, tak samo jak teraz, gdy do niej mówił.

— Posłuchaj mnie, Caridad — nalegał. — Musisz poszukać sobie jakiejś pracy.

Don Damián chwycił kufer, odwrócił się i ruszył w swoją stronę.

Dlaczego czuję się winny? Przystanął, żeby przełożyć kufer do drugiej ręki. Mogłem wziąć ją siłą, ale tego nie zrobiłem, usprawiedliwiał się jak zwykle, gdy dręczyło go poczucie winy. Przecież była tylko niewolnicą.

Może... może wcale nie musiałyby używać przemocy. Podobno wszystkie czarne niewolnice są rozpustne. Don José, jej pan, wyznał mu na spowiedzi, że sypiał ze wszystkimi.

— Miałem syna z Caridad — oświadczył — albo nawet dwóch, chociaż nie, nie sądzę, bo ten drugi, ten odmieniec, urodził się tak samo czarny jak ona.

— Czuje pan skruchę? — zapytał go ksiądz.

— Że spałem z Murzynkami? — obruszył się plantator. — Ojcie, sprzedawałem małych mieszańców do księżowskich cukrowni. Szybko dobijaliśmy targu i księża nigdy nie troszczyli się o moją grzeszną duszę.

Don Damián udawał się do katedry Świętego Krzyża po drugiej stronie mierzei, na której leżało odgradzone murami od zatoki miasto. Zanim skręcił w przecznicę, odwrócił głowę i w grupie ludzi dostrzegł sylwetkę Caridad; usunęła się na bok, żeby nie zawadzać przechodniom, i stała oparta plecami o mur, obojętna na otoczenie.

Jakoś sobie poradzi, pomyślał, przyspieszył kroku i skręcił w ulicę. Kadyks był miastem bogatym, miejscem spotkań kupców i handlarzy z całej Europy, gdzie pieniądz płynął obficie. Caridad jest teraz kobietą wolną, zatem musi nauczyć się życia i pracy w wolności. Ksiądz przeszedł spory kawałek i kiedy dotarł do miejsca, skąd widać już było nowo budowaną świątynię przy katedrze Świętego Krzyża, przystanął. Ale jaką pracę znajdzie ta nieszczęsna kobieta? Zna się jedynie na tytoniu, trafiła na kubańską plantację w wieku dziesięciu lat, wyrwana z królestwa Joruba w Zatoce Gwinejskiej. Angielscy handlarze niewolników kupili ją za marne pięć łokci tkaniny i odsprzedali z zyskiem na chłonnym rynku kubańskim. Opowiedział mu o tym sam don José Hidalgo, kiedy kapelan zainteresował się, dlaczego zabrał tę kobietę w podróż.

— Jest silna i ponętna — dodał plantator, puszczając do niego oko. — I zdaje się, że już nie może mieć dzieci, co jest oczywistą zaletą. Po urodzeniu tego przygłupka...

Don José wyjaśnił mu również, że był wdowcem, miał wykształconego syna po studiach, któremu dobrze powodziło się w Madrycie; planował spędzić przy nim resztę życia. Na Kubie miał dochodową plantację tytoniu na żyznych ziemiach nieopodal Hawany, pracowało dla niego dwudziestu niewolników. Samotność, starość i naciski ze strony właścicieli cukrowni, zainteresowanych rozwojem swojego kwitnącego

przemysłu, skłoniły go do sprzedania tej posiadłości i powrotu do ojczyzny, lecz po dwudziestu dniach podróży zaatakowała go choroba, czyniąc prawdziwe spustoszenie w słabym, starym organizmie. Medyk nie widział dla niego żadnej nadziei — gorączka, obrzęk, plamy na skórze, krwawiące dziąsła to symptomy przepowiadające pacjentowi rychły koniec. Zgodnie z zasadą obowiązującą na okrętach królewskich kapitan *Królowej* rozkazał pisarzowi udać się do kabiny don José, by sporządzić testament.

— Daję wolność mojej niewolnicy Caridad — wyszeptał chory po wydaniu dyspozycji w kwestii paru pobożnych legatów i przekazania całości majątku na rzecz syna, którego już nie zobaczy.

Grube wargi kobiety nawet nie drgnęły na znak zadowolenia, gdy dowiedziała się, że będzie wolna — przypomniał sobie ksiądz, wciąż stojąc na ulicy.

Ona ciągle milczała! Don Damián przypomniał sobie również, jak starał się wyłapać głos Caridad w zgiełku modlitw podczas niedzielnych mszy na pokładzie albo cichy szept w nocy, gdyż kazał jej się modlić przed snem. Jaką pracę może znaleźć ta kobieta? Kapelan wiedział, że po wyzwoleniu prawie wszyscy niewolnicy podejmowali pracę u swoich dawnych panów za nędzną zapłatę ledwie wystarczającą na pokrycie tych potrzeb, które przedtem mieli zagwarantowane. Albo kończyli na ulicy, walcząc o jałmużnę z tysiącami innych nędzarzy urodzonych w Hiszpanii, którym nie brakowało sprytu i inteligencji, znajomości terenu i upodobań ludzi. Jak Caridad poradzi sobie sama w takim dużym mieście?

Westchnął, podrapał się parę razy po brodzie i łysiejącej głowie. Z ciężkim stęknieniem zarzucił kufer na plecy i zawrócił. Co dalej? — zastanawiał się. Może... może znalazłaby się dla niej jakaś praca w fabryce tytoniu. Ona zna się na sortowaniu liści, potrafi rozpoznawać najlepsze i delikatne, z należytą czułością skręca dobre cygara; powiedział mu o tym don José. Jednakże don Damián nie miał ochoty prosić nikogo o

przysługę, tłumaczyć, dlaczego to robi... Poza tym istniało ryzyko, że Caridad opowie komuś, co on wyprawiał nocami na statku. W halach fabrycznych pracuje blisko dwieście kobiet, które umilają sobie skręcanie cygar i cygaretek plotkami.

Zastał Caridad wciąż nieruchomo przyklejoną do ściany, bezradną wobec grupy młokosów naigrywających się z niej za milczącym przyzwoleniem przechodniów zmierzających z portu lub do portu. Don Damián znalazł się w pobliżu akurat w momencie, gdy jeden z chłopaków zamachnął się, żeby rzucić w nią kamieniem.

— Stój! — krzyknął.

Chłopak zastygł w bezruchu, kobieta zdjęła kapelusz i spuściła oczy.

. . .

Caridad odłączyła się od siedmioosobowej grupy pasażerów, z którymi wsiadła na statek płynący w górę Gwadalkiwiru do Sewilli; próbowała znaleźć jakieś miejsce pośród stosu umieszczonych na pokładzie pakunków, żeby choć trochę odpocząć. Statek był jednomasztową tartaną, która przywiozła do Kadyksu cenną oliwę z oliwek rosnących na sewilskiej równinie i wracała do macierzystego portu.

Najpierw popłynęli wzdłuż Zatoki Kadyksu do Sanlúcar de Barrameda, gdzie Gwadalkiwir wpada do morza. Wraz z innymi żaglowcami musieli poczekać u wybrzeży Chipiony na przypływ i sprzyjające wiatry, gdyż inaczej nie dałoby się pokonać niebezpiecznej mielizny Sanlúcar, tych straszliwych ławic piasku, gdzie na zawsze utknęło już wiele statków. Kapitanowie nie odważali się płynąć dalej w niesprzyjających warunkach. Manewr ten można było wykonać tylko w porze największych przypływów umożliwiających wejście do Gwadalkiwiru i swobodną żeglugę niemal aż do Sewilli.

— Nieraz czekało się nawet sto dni, żeby przepłynąć mieliznę — opowiadał marynarz wykwintnie odzianemu pasażerowi, ten zaś spoglądał z niepokojem na Sanlúcar, jakby obawiał się,

że spotka ich podobny los.

Caridad usadowiła się między workami i oparta o burtę poddawała się kołysaniu tartany. Morze wyglądało spokojnie, lecz na pokładzie wyczuwało się rosnące napięcie. Podobny nastrój panował na sąsiednich żaglowcach. Wywołany był nie tylko oczekiwaniem na przyływ, lecz także lękiem przed możliwym atakiem Anglików lub korsarzy. Słońce zbliżało się ku zachodowi, wody przybierały groźną, metaliczną barwę, niespokojne rozmowy załogantów i pasażerów przechodziły w szept. Wraz z zachodem słońca dawał o sobie znać zimowy chłód, a wilgoć przenikająca do szpiku kości zwiększała uczucie zimna. Caridad była głodna i wyczerpana. Narzuciła na ramiona chustę ze zgrzebnej białej, równie szarą i spraną jak jej koszulowa suknia. Pozostali pasażerowie wydawali się jej wytworni, ich stroje były barwne i bogate. Wsunęła rękę do tobołka, żeby wyciągnąć koc, gdyż zęby jej dzwoniły z zimna i dostała gęsiej skórki. Natrafiwszy palcami na cygaro, obmacała je delikatnie, wspominając doznania związane z jego zapachem i dymem. Potrzebowała tego, pragnęła się odurzyć, żeby nie myśleć o zmęczeniu, głodzie... nie myśleć nawet o tej swojej świeżej wolności.

Otuliła się kocem. Wolna? Don Damián wsadził ją na pierwszy statek w kolejce do wypłynięcia z kadyskiego portu.

— Udasz się do Sewilli — oświadczył po rozmowie z kapitanem, podczas której ustalił cenę i zapłacił za jej podróż z własnej kieszeni. — Do Triany. Tam poszukasz klasztoru minimitek i powołasz się na mnie.

Caridad chciała zapytać, co to jest Triana i jak znaleźć ten klasztor, ale nie zdobyła się na odwagę. Ksiądz szybko wepchnął ją na pokład, rozglądając się przy tym na boki, jakby obawiał się, że ktoś zobaczy ich razem.

Zapach wąchanego cygara przeniósł ją w myślach na Kubę. Oprócz swojej chaty, pola tytoniu i cukrowni, do której niewolnicy udawali się co niedzielę, by wysłuchać mszy, a potem śpiewać i tańczyć do upadłego, nie знаła żadnych

innych miejsc. Z chaty na pole, z pola do chaty i tak dzień po dniu, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Czy będzie umiała trafić do klasztoru? Skuliła się przy burcie, oparła plecy o drewniane poszycie i starała się nawiązać kontakt z utraconą rzeczywistością. Kim są ci dziwni ludzie? Co stało się z Marcellem? Jak miewa się jej przyjaciółka, mulatka Maria, z którą śpiewała w chórze? Co z pozostałymi? I co ona sama robi tutaj, na tym obcym statku, w nieznanym kraju? Płynię do miasta, o którym nigdy wcześniej nie słyszała. Triana? Nie zdobędzie się na to, żeby zadać białym jakieś pytanie. Dotąd zawsze wiedziała, co ma robić, i nie potrzebowała pytać. Zawilgotniały jej oczy na myśl o Marcelu. Pogrzebała w tobołku i wyjęła krzesiwo i hubkę, aby rozniecić ogień. Czy tutaj wolno palić? Na plantacji palenie było czymś normalnym.

Podczas podróży przez ocean wyplakiwała oczy z tęsknoty za Marcellem. Chciała się rzucić do morza i skończyć raz na zawsze z tym potwornym cierpieniem.

— Odsuń się, Murzynko, bo wpadniesz mi do wody! — przestrzegł ją jeden z marynarzy. Posłuchała i odeszła od burty. Czy odważyłaby się skoczyć, gdyby nie pojawił się ten marynarz? Po co o tym myśleć? Czy nie lepiej obserwować ludzi z tartany? Wyglądali na dziwnie zdenerwowanych. Zaczął się przypyływ, ale nie towarzyszył mu wiatr. Zauważyła, że niektórzy palą. Zręcznie potarła krzesiwem o krzemień i hubka zapłonęła. Czy znajdzie tutaj drzewa z odpowiednią korą i hubą nadającą się do wyrobu hubki? Zapaliła cygaro, mocno się zaciągnęła i zaczęła się zastanawiać, skąd weźmie nowe liście tytoniu. Pierwsze zaciągnięcie uspokoiło jej myśli. Po dwóch następnych poczuła rozluźnienie mięśni i lekki zawrót głowy.

— Czarna, dasz popalić?

Obok przycupnął majtek z brudną, lecz miłą i bystrą twarzą. Uśmiechał się, oczekując odpowiedzi, a Caridad przez kilka sekund widziała tylko jego białe zęby, takie same jak u Marcela, kiedy trzymała go w ramionach. Wcześniej miała jeszcze

jednego synka spłodzonego z mężczyzną, który później nie zawahał się sprzedać małego mulata, gdy ten trochę podrośł i nie wymagał już ciągłej opieki starych niewolnic pilnujących dzieci, gdy ich matki pracowały. Wszystkie dzieci niewolników czekał ten sam los — pan nie chciał utrzymywać małych Murzyniełek.

Marcelo, poczęty z Murzynem z cukrowni, był odmieńcem. Po długim, trudnym porodzie wydała na świat nie całkiem normalne dziecko. Nikt go nie kupi, stwierdził pan, kiedy okazało się, że chłopczyk jest opóźniony w rozwoju. Pozwolił mu zostać na plantacji, ale traktował go jak psa, kurę albo jedno z prosiąt hodowanych z tyłu za chatą. Wszyscy wróżyli małemu rychłą śmierć. Caridad z uporem karmiła dziecko po kryjomu, za co zbierała ostre cięgi, gdy nakrył ją nadzorca. Dajemy ci jeść, żebyś pracowała, zostaw tego przygłupka, powtarzał.

— Czarna, dasz popalić? — nalegał majtek.

Dlaczego nie? — pomyślała Caridad. Ten chłopak uśmiechał się tak samo jak jej Marcelo. Podąła mu cygaro.

— Wspaniałe! Skąd je masz? — wykrzyknął chłopiec, odzyskawszy głos po długim ataku kaszlu. — Kubańskie?

— Tak — odparła machinalnie Caridad. Zabrała mu cygaro, bo chciało jej się palić.

— Jak się nazywasz?

— Caridad — odpowiedziała, wypuszczając dym.

— Podoba mi się twój kapelusz. — Chłopak przestępował z nogi na nogę, czekając cierpliwie na swoją kolej palenia.

— Wiatr!

Okrzyk kapitana tartany zmaćcił ciszę. Na innych statkach rozległy się podobne wołania. Wiatr z południa, idealny do zmierzenia się z płycizną. Majtek oddał cygaro i pobiegł dołączyć do marynarzy.

— Dziękci, czarna — powiedział pospiesznie.

W przeciwieństwie do innych pasażerów Caridad nie interesowała się skomplikowanymi manewrami w wąskim

kanale, gdzie tartana trzy razy musiała zmieniać kierunek. Wokół ujścia Gwadalkiwiru, na ziemi i na przycumowanych do brzegu barkasach, pojawiły się pomagające w nawigacji świetlne sygnały dla statków. Wszyscy, oprócz Caridad, w napięciu śledzili te poczynania, gdyż wiedzieli, że jeśli w połowie drogi wiatr osłabnie, ryzyko ugrzęźnięcia na mieliźnie będzie niewiele mniejsze niż wcześniej. Tymczasem ona, oparta o burłę, spokojnie paliła cygaro, rozkoszując się przyjemnym mrowieniem w całym ciele — tak działał na nią tytoń.

W momencie gdy tartana wpłynęła do upiornego Kanału Anglików, mijając z lewej strony światła wieży San Jacinto, Caridad zaczęła nucić piosenkę zapamiętaną z niedzielnych zabaw, kiedy po mszy w pobliskiej cukrowni niewolnicy z różnych plantacji zbierali się w wielkim baraku, żeby śpiewać i tańczyć — biali na to pozwalali, gdyż traktowali niewolników jak dzieci potrzebujące wytchnienia po ciężkiej pracy. Tymczasem w każdym tanecznym kroku i w każdym dźwięku wydobywanym z bębnów *batá* — wielkiego *iyá*, ojca wszystkich bębnów, *itótele* albo malutkiego *okónkolo* — czarni oddawali cześć swoim bogom, ukrytym pod postaciami chrześcijańskich dziewic i świętych, wspominali z nostalgią swoją afrykańską kolebkę.

Nie zwracając uwagi na powszechny harmider i rozkazy wydawane załodze przez kapitana, Caridad nuciła tak samo jak wtedy, gdy usypiała Marcela. Miała wrażenie, że dotyka jego włosków, słyszy jego oddech, czuje jego zapach. Przesłała mu w powietrzu pocałunek... Chłopczyk przeżył, a ona, chociaż wciąż karcona i bita przez pana i nadzorcę, przynajmniej zaskarbiła sobie względy wśród czarnych na plantacji. Jej synek był zawsze uśmiechnięty! Taki słodki i miły dla wszystkich, nie miał pojęcia o podziale na niewolników i właścicieli. Żył wolny, lecz czasem patrzył w oczy niewolnikom, jakby rozumiał ich ból i zachęcał do zrzucenia łańcuchów. Jedni uśmiechali się wtedy ze smutkiem, inni płakali, bolejąc nad jego losem odmieńca.

Caridad mocno wciągnęła w płuca dym z cygara. Marcelo będzie pod dobrą opieką, co do tego nie miała wątpliwości. Zajmie się nim María, ta z chóru. Cecilio także, chociaż w tamtym czasie był zmuszony rozdzielić syna i matkę... Ci wszyscy niewolnicy, sprzedani razem z ziemią nowemu właścicielowi, zaopiekują się jej synkiem. Będzie szczęśliwy, przeczuwała to. Natomiast don José... Niech jego dusza nigdy nie zazna spokoju, życzyła sobie w myślach Caridad.